

## ŚWIADECTWO LILLINY

Od młodości, nie mając jeszcze osiemnastu lat, kiedy to otrzymałam legitymację współpracownicy salezjańskiej bezpośrednio od ks. Ricceri, z utęsknieniem zawsze czekałam na wiazankę księdza Generała, ponieważ stanowiła dla mnie wtedy, jak również dzisiaj, projekt życia na rok bieżący.

W zasadzie był to czas, w którym czekałam na wiazankę podobnie jak w tym roku.. dlatego dziękuję z serca Księdzu Generałowi, który miał wrażliwość i odwagę, aby pobudzić nas do refleksji na temat naprawdę aktualny i poruszający dla nas salezjanów, dzisiaj.

Słowa „wiazanki” pozwoliły mi powrócić do lat '80, kiedy to, co dopiero powróciwszy z Ekwadoru po doświadczeniu puszczy amazońskiej jako misjonarka świecka, napełniona umiejętnościami życia zdobytymi od Indian kivaros, zdecydowałam razem z moim mężem, aby poświęcić moje życie, więcej nasze życie misjom.

Nasz powrót definitywny do Amazonii był najpierw przeszkodzony oczekiwaniem pierwszego dziecka, Giampiera, a później z motywów zdrowia osobistego.

Wydawało się właściwie, że wszystko sprzysięgło się przeciw naszemu wyborowi; dopiero później zrozumiałam, że może Dobry Bóg miał inne plany względem nas i naszego życia.

Pamiętam te lata (od 78 do 80), trochę szare, nawet jeśli rozweselane uśmiechem naszego syna, który przez swoje narodziny ubogacił nasze małżeństwo: czuliśmy się pochłonięci codziennością (praca-dom, dom-praca), która trzymała na uwięzi to co było naszymi marzeniami, to co stanowiło podstawowy wybór, na którym budowaliśmy naszą miłość... podczas gdy wokół nas był świat, który wołał: pomocy, świat przede wszystkim młodzieżowy, kuszony ogromnymi niebezpieczeństwami, zbyt wielkimi i zbyt ogłuszającymi by pozostawać spokojnymi, zakorzenionymi w system życia, który ograniczał się do troski wyłącznie o naszego syna i nasze życie małżeńskie.

Były to lata, w których wiele, zbyt wiele młodzieży było przygniecionej ciężarem heroiny, zbyt wiele młodych szło do więzienia i z niego wychodziło, odrzucone przez rodziny i było mało osób, które by się interesowały ich historią.

Zadręczały mnie wewnątrz nieustannie słowa, jakie Ksiądz Bosko powiedział po wizycie w więzieniu w Turynie na widok tylu chłopców za kratami: „Oh! Gdyby ci chłopcy mieli przyjacielską dłoń...”Czułam we mnie obowiązek i pragnienie stania się tą przyjacielską dłonią, aby zapobiec zniszczeniu życia wielu dobrej młodzieży: Było tak, że rozpoczęliśmy szukać miejsca, w którym można by przyjąć tych młodych, którzy nie dawali spokoju naszemu sumieniu i narzucali się nam, bez większych próśb, stylu życia trochę „sui generis”, z pewnością dalekiego od życia „ciepłych pantofli”, o którym może marzyli nasi rodzice dla nas.

Kto wie, dlaczego rozpoczęło się wszystko od zbiegu okoliczności: wskazano nam Rektora Sanktuarium Divino Amore, do którego zwróciliśmy się; stara opuszczona rudera; była to stajnia ze żłobami jeszcze nie zniszczonymi, własność markiza Gerini, znanego przyjaciela i dobrodzieja salezjanów. Nie było trzeba wiele, aby go przekonać by to dał do dyspozycji na działalność na rzecz młodzieży w trudnościach. Może ani on, ani my nie przypuszczaliśmy wtedy, że ta „stajnia” może ogrzać ponad 400 młodzieży, która przez te lata (25) znalazła wyciągniętą dłoń na ich potrzeby.

To nie po raz pierwszy „stajnia”, miejsce anonimowe i z pewnością odrzucone przez ludzi „dobrze sytuowanych”, służy za kołyskę dla snów kogoś, kto kocha przepowiadanie odnowionej egzystencji dla ubogich, uciśnionych.. ostatnich.

Przy pomocy wielu współpracowników salezjańskich, salezjanów, siostr... ta stajnia przemieniła się szybko w dom otwartych drzwi dla młodzieży, która prosiła o pomoc. Tak

nasza rodzina się powiększyła otwierając drzwi przede wszystkim młodocianym, którzy znaleźli się w trudnych sytuacjach osobistych, społecznych czy rodzinnych.

Jak w tradycji ściśle salezjańskiej, rozpoczęliśmy bez środków ekonomicznych, ufając jedynie ofiarności wielu przyjaciół, a przede wszystkim pomocy Bożej, i żeby Bóg nie zapomniał o nas, nazwaliśmy dzieło „Providenza” („Opatrzność”).

Nasza wspólnota nie chciała być terapeutyczną, a tym bardziej kolegium, ale od pierwszego dnia była to „Rodzina”, która otwierała się na młodzież, która znalazłszy się w trudnościach, czy to o charakterze rodzinnym i środowiskowym, albo przez przekroczenie prawa lub powrotu do przestępstwa, itd. szukała wsparcia moralno-wychowawczego na pewien okres czasu, koniecznego do wyjaśnienia sytuacji, by z powrotem wejść w rodzinę i w społeczeństwo, dając pierwszeństwo prewencji przed upadkiem lub ponownego powrotu na złą drogę, w stylu, jakiego nauczył nas Ksiądz Bosko.

Dokonać bilansu działalności w tych 25 latach nie jest rzeczą łatwą. Tylko Bóg zna serce człowieka; tylko On wie, czy wysiłek przyniósł lub przyniesie oczekiwane owoce. My usiłujemy dawać chrześcijańskie świadectwo, wdzięczni Mu jeśli wyda owoc.

W pierwszych latach byliśmy zaangażowani przede wszystkim w przyjmowanie młodocianych, którzy byli nam powierzani przez Sąd dla nieletnich na mocy prawa 266, które przewidywało, że nieletni po pierwszym przestępstwie nie będzie umieszczany w warunkach więziennych, aby uniknąć utrwaleniu się postaw złych. Wejście w życie tego prawa stanowiło duży postęp kulturowy i społeczny. Niepełnoletni po raz pierwszy był uznawany za podmiot praw, i jako taki, chroniony i wspomagany.

Spółczeństwo wobec najmłodszych jest zawsze dłużnikiem, jest zawsze w obowiązku by uczynić wszystko co jest możliwe, aby żyć w teraźniejszości godnie i aby przygotować przyszłość odpowiedzialną i wolną, a w momencie, w którym Sąd powierzał nam nieletnich z zachwianiami domagał się od nas zagwarantowania jakościowej propozycji wychowawczej... która nie mogła być inną jak naznaczoną przez pedagogię Księdza Bosko.

Opatrzność w ten sposób wyróżniała się jako uprzywilejowane i rzadkie miejsce, które wewnątrz dla nieletniego w trudnościach stawało się ostatecznie naturalnym i spontanicznym centrum uwagi na formy życia rodzinnego, bogate w bodźce i liczne okazje do wolnej i ufnej refleksji nad problemami własnej tożsamości, jeszcze niepewnej i naznaczonej zderzeniem ze społeczeństwem.

Młody człowiek, który przybywa do domu rodziny natychmiast dostrzega szczególny klimat jaki tam panuje: napięcia, lęki, odrzucenie jakie nieletni nosi w sobie, zmieniają się w nowość sytuacji, w której przychodzi mu żyć. Nieletni teraz znajduje się w kontakcie z dorosłymi, których nie musi już koniecznie odbierać jako przeszkody i autorytatywnych zagrożeń, natomiast jako tych, z którymi jest możliwe nawiązanie relacji pozytywnych i opartych na zrozumieniu, współpracy, przyjaźni we wzajemnym szacunku. To wszystko wymaga minimum przygotowania i włączenia nastolatka w nowe doświadczenie, do przeżycia którego jest zaproszony, inaczej wszystko staje się trudniejsze.

Kiedy relacja niepełnoletni-dom rodzinny jest pozytywna to się to widzi i doświadczenie nam to potwierdza, że pęka ten mur nieufności w stosunku do dorosłych, jaki nastolatek stworzył sobie jako obronę w poprzednich problematycznych doświadczeniach rodzinnych i społecznych. Zaczyna pojawiać się żywa nostalgia za dawnymi uczuciami, przede wszystkim matczynymi, przeżywanymi teraz z podobną wolą ochrony przed tymi faktami traumatycznymi, które stworzyły poważne problemy w dzieciństwie. Powstaje w młodym człowieku świadomość tego, że posiada w sobie siły wewnętrzne, całkowicie swoje, które można ukierunkować na cele mniej więcej mało jeszcze określone, ale w kierunku realizacji których wie, że może na kogoś liczyć, kto jest faktycznie przyjacielem.

W ten sposób młody człowiek jest w kondycji ponownego odzyskiwania swego życia, możliwości myślenia o powstałych zranieniach (zapóźnienia w szkole, twardość uczuciowa, trudności z wyrażaniem się, niekompetencje zawodowe, problemy pracownicze, itd.) i stworzenia, chociaż czas stał się bardzo krótki, warunków dla „swojej” przyszłości wolnej w relacjach tym razem już nie na marginesie społecznym.

Nasze zadanie, jak widać, jest trudne... rezultat jednak zostaje osiągnięty: chłopcy, którzy przeżyli jakiś czas z nami, obcokrajowcy i włosi, przeżyli go nie jako nieszczęście, które dodaje się do poprzednich, ale jako czas ważny i ubogacający, i który pozostaje jako wyraz kultury solidarności: Ta kultura solidarności była zawsze wyraźnym przekonaniem z naszej strony, która zapuszcza swoje korzenie nie tylko w wierze religijnej i salezjańskiej, ale także w rozumieniu alternatywnym bardziej ludzkiego społeczeństwa. To co pragniemy oferować to jest to przestrzeń „sprawiedliwości” w znaczeniu jakie pragniemy dać młodemu człowiekowi, którego on nigdy nie miał lub miał w sposób niewystarczający.

Szczerze mówiąc, nigdy nie teoretyzowaliśmy naszego sposobu wsparcia chłopca, ponieważ styl salezjański, styl księdza BOSKO jest już w sobie modelem zwycięskim: wyklucza wszelką formę paternalizmu lub asystenzjalizmu, a rozwija propozycję szczerego przyjęcia, opartego na przyjaźni, słuchaniu, współuczestnictwie, wymagającej i odpowiedniej zgodności zachowań.

Akceptować i pozwolić się zaakceptować staje się w taki sposób punktem kluczowym, i jako taki, pierwszoplanowym celem naszego domu-rodziny. Jeśli nie osiągnie się włączenia nieletniego w decyzje, które się podejmuje względem niego i o nim, nie można rozpocząć żadnego procesu wychowawczego i ogranicza się do obowiązków represyjnych lub pilnowania, które były obce Księdzu Bosko.

Przez te ostatnie lata byliśmy wyłącznie zaangażowani w przyjmowanie nieletnich obcokrajowców pochodzących z Afryki północnej, z Albanii, Rumunii i Afganistanu. Ci ostatni w sposób szczególny przypominają nam jak bardzo ksiądz Bosko kochał młodzież: „wystarczy, że jesteście młodzi, abym was bardzo kochał”. Są to chłopcy uciekający przed wojną, zmuszeni do pozostawienia swojego Kraju dla uniknięcia losu swoich rodziców zabitych przez talibów. Mają historie bardzo smutne, w sercu świadomość, że nie będą mogli wrócić do swojej ziemi. Oddaleni od własnych korzeni, bez możliwości zapuszczenia nowych, zawieszeni pomiędzy przeszłością a przyszłością, w terażniejszości ubogiej, pozbawionej wszystkiego. Wielu z nich na swoim ciele ma ewidentne znaki tortur poniesionych przed uratowaniem się: Opowiadania o ich wstrząsających podróżach nie mogą nie pobudzać nas do stania się dla nich przyjacielską dłońią, tym ramieniem, na którym można się oprzeć, i – dlaczego nie – płakać, kiedy żywo wspominają bliskich i swoją ziemię daleką. Są to chłopcy silni, jednym słowem: Nie wiem ilu z naszych chłopców włoskich, przyzwyczajonych do życia mniej lub bardziej wygodnego miałoby taką siłę wewnętrzną jaką oni wykazują. Sami, obcokrajowcy w ziemi całkowicie innej, często wrogiej i obojętnej wobec nich, potrafią zawinąć rękawy, aby podjąć wysiłek nauki naszego języka, naszych zwyczajów, naszej ucieczki do życia spokojnego, bez większych przeciwności lub problemów. Naszym obowiązkiem jako pary małżeńskiej i jako salezjanów współpracowników względem tych chłopców jest to co Ksiądz Generał podkreślił w swojej Wiązance: wychowywać z sercem Księdza Bosko dla integralnego rozwoju życia młodzieży, przede wszystkim tej najbiedniejszej i najbardziej zaniedbanej, promując ich prawa.

Z pewnością staramy się wychowywać i kochać z sercem Księdza Bosko, ale nigdy nie dojdziemy do tego, aby mieć serce wielkie jak On... na pewno rozumiemy i pracujemy aby ci nasi przyjaciele byli szanowani w ich prawach. Może dopiero dzisiaj rozumiem wielką trudność, której doświadczył Ksiądz Bosko, kiedy wędrował po budowach, by znaleźć swoich chłopców, aby dodać im odwagi, a przede wszystkim, by upewnić się, że pracodawcy szanują ich praw. Również nam zdarza się często, że musimy starać się nie tylko by poszukać im

pracy, co staje się coraz trudniejsze, ale przede wszystkim, żeby ci którzy dają pracę byli w porządku i sprawiedliwi względem nich...

Ile razy zdarzyło się nam, że musieliśmy przypominać i walczyć o czas pracy i odpowiedni jej przydział... a jednocześnie przepraszać naszych chłopców za podłe wykorzystywanie ich ze strony tylu dobrych chrześcijan. W ten sposób nasze zadanie konkretyzuje się w czynnym promowaniu i na ile mamy możliwości, godności tych młodych. Już nie wystarcza tylko otwarcie na oścież serca dla przyjęcia ich: dzisiaj, jak nigdy dawniej, chodzi o walkę, aby były przestrzegane ich prawa, aby żadnemu z nich nie brakło nadziei na przyszłość bardziej ludzką. Myślę, że gdyby Ksiądz Bosko żył dzisiaj, na pewno dałby upust swojej pomysłowości dla umacniania kultury formacji sumień dla uznawania podstawowych praw osoby ludzkiej, jakiegokolwiek byłaby koloru skóry, aby konkretnie odpowiedzieć na krzyk Chrystusa, który prosi o pomoc w szacie Angolczyka spragnionego, Afgańczyka sieroty, który widział na własne oczy śmierć swoich najbliższych, chłopca, który ucieka z sytuacji nie do przeżycia w swoim kraju...

Jest wiele wspomnień, które chłopcy pozostawili w mojej pamięci i w moim sercu, że gdybym musiała opowiedzieć historie tych wszystkich, którzy przeszli przez nasz dom... nie wystarczyłoby lat, które pozostały jeszcze mojemu życiu.. ale jedno chciałabym pozostawić również wam: „była Wigilia Bożego Narodzenia, ok. 24 lata temu. Byłam zajęta piecem przy przygotowaniu kolacji, kiedy jeden z chłopców przyszedł by mi powiedzieć, że Merak (chłopiec Cygan niedawno przybyły do „Providenza”) strasznie płakał. Merak został sprzedany karawanie cyganów przez swoich krewnych kiedy miał zaledwie dwa lata. Zmuszony do proszenia o jałmużnę, bity i torturowany (miał na plecach znaki powypalane od gaszenia papierosów), w wieku 10 lat udało mu się uciec i stracić po sobie ślady; był odnaleziony przez policję na pół zamrożony pod ławką w parku Eur. Jedyne słowa jakie potrafił powiedzieć po włosku to: una monetina, cento lire, per favore. Został umieszczony w jednym instytucie w oczekiwaniu na adopcję, ale...kto odważy się adoptować dziecko nie białe, ani nie o niebieskich oczach, a co więcej Cygana? Kolegium, które go przyjęło miało być zamknięte i szukano gdzie by umieścić gości już największych: miał 14 lat kiedy został przywieziony do nas po jednym z artykułów w dzienniku Messaggero, który przez przypadek odkrył istnienie „Providenza”. Pracował w pizzerii blisko Instytutu, w którym mieszkał. Właściciel oczywiście nie zatrudnił go legalnie, raczej nakładał na niego wiele pracy, za to że go zatrudnia. Merak, tego dnia chodząc tam i z powrotem zobaczył w Providenza przyjaciół, którzy składali sobie życzenia: wpadł w kryzys. Usiłowałam zmusić go do mówienia i wyjaśnienia motywu jego płaczu. Długo było trzeba czekać aż mi coś powiedział: płaczę, ponieważ myślę o mojej sytuacji; jestem sam na świecie, nie znam moich rodziców, nie mam krewnych, nie mam przyjaciół... jeśli musiałbym iść złożyć komuś życzenia Bożonarodzeniowe, to nie wiedziałbym komu.”

Mogłaby się wydawać ta odpowiedź banalną, ponieważ w domu było wielu w podobnej sytuacji... ale Merak miał spojrzenie smutne, prawie załamany. Kto wie co myślał! Objęłam go mówiąc, że to nie prawda, ponieważ od tej chwili mógłby i powinien złożyć życzenia nam, Carlo i Lillina, wielu przyjaciołom, których poznał w Providenza.

Rozchmurzył się natychmiast obdarzając mnie najpiękniejszym uśmiechem. Wróciłam do pieców. Po dobrej półgodzinie przyszedł do mnie do kuchni; prosił mnie bym poszła do pobliskiego pokoju, poszłam: na środku stołu była piękna Gwiazda Bożonarodzeniowa, z bilecikiem napisanym w pośpiechu: „draga mamó, kocham, cię!”

To była pierwsza z wielu okazji, bo od tego dania każdego roku Merak, już nie chłopiec, ma przyjaciół, którym może powiedzieć: Buon Natale!

Kończę tutaj, życząc wszystkim obecnym i całej rodzinie salezjańskiej, abyście byli w życiu tą ręką i tymi otwartymi ramionami na przyjęcie życzeń „Buon Natale” i szczerego

uśmiechu wielu takich Meraków, którzy wołają na naszych ulicach i oczekują, kiedy będą mogli powiedzieć: od dzisiaj nie jesteś już więcej sam, jestem JA.